

Piotr Semka: Alergia na patriotyzm

W Polsce, niemal pół roku po wyborach, deklaracje na temat wagi pamięci historycznej znów budzą oskarżenia o partyjne zaangażowanie. Warto szukać odpowiedzi na pytanie, skąd takie uczulenie na hasło promowania patriotyzmu – pisze Piotr Semka

„Czytając wydane ostatnio książki Marka Cichockiego, Dariusza Gawina i Dariusza Karłowicza, zastanawiałem się, co z tej lektury może mieć ktoś taki jak ja” – tymi słowami Piotr Bratkowski zaczyna swój tekst „Kuszenie strażników wartości” omawiający publikacje trójki autorów.

Problem w tym, że książki wcale nie zostały wydane tak niedawno. Dwie z nich ukazały się w 2005 roku, ale „Koniec snu Konstantyna” oraz wcześniejsza, ale ściśle związana z pozostałymi – „Porwanie Europy” Cichockiego – jeszcze w 2004 roku. Dlaczego nie zainteresowały one Piotra Bratkowskiego wcześniej? Przecież omówienie ich w czasie zeszłorocznej kampanii wyborczej mogłoby poszerzyć dyskusję o pytania, na jakie przyszło Polakom odpowiedzieć w tych wyborach.

Recenzent nieprzypadkowo wybrał moment paromiesięcznych już rządów PiS. W jego tekście pełno jest aluzji kreujących trio Cichocki – Gawin – Karłowicz na niemalże szare eminencje PiS. Wszystko to

niesłusznie sprowadza owe książki do roli elementu wyborczych strategii braci Kaczyńskich.

Etykieta aparaczyków

Bratkowski z lubością ubiera trójkę autorów w kostium potencjalnych aparaczyków IV RP, ludzi „czujących za sobą siłę państwa”. Wspomina o „politycznych patronach autorów”. Dość dwuznacznie chwali ich za to, że „postawili na (politycznego) konia, który po wielu niepowodzeniach wreszcie wygrał”. Dywaguje, czy Cichocki, Karłowicz i Gawin „zaczną teraz czerpać z tego profity”.

Smuci mnie ten insynuacyjny ton. Owszem, Karłowicz i Cichocki pomagali w zorganizowaniu w Pałacu Prezydenckim jednej konferencji, Gawin zaś kieruje Instytutem imienia Starzyńskiego przy Muzeum Powstania Warszawskiego. Odnoszę wrażenie, że Bratkowski, tropiąc udział opisywanej trójki w Honorowym Komitecie Lecha Kaczyńskiego – stosuje do nich inne miary niż do wielu gwiazd intelektualnych obozu liberalnego. Ci, jak wiadomo, wszystko robią wyłącznie dla dobra abstrakcyjnej demokracji z wyłączeniem jakiegokolwiek politycznego kontekstu. Na przykład Magdalena Środa wchodzi do rządu SLD, ale zaliczenie jej do lewicy wywołuje oburzenie. Natomiast o Zdzisławie Krasnodębskim należy dziś pisać jako o „prorządowym publicyście” i „ideologu PiS”.

To naznaczanie ideowych polemistów etykietkami partyjnymi zamazuje różnice między polityką a metapolityką. Tym bardziej zacytujmy Dariusza Karłowicza, który wyjaśnia, że metapolityka to

„ogromna sfera wspólnej pamięci, doświadczeń, przekonań i wartości, ale również przyzwyczajęń i idiosynkrazji, które stanowią fundament polityki”.

W USA, Francji czy nawet w Niemczech istnieje w tej sferze jakieś pole consensusu między lewicą a prawicą. Nadzieję na polski consensus, choćby w obrębie prawej strony politycznej sceny, budził fakt, że teksty trójki autorów był czytane i komentowane w elitach Platformy Obywatelskiej. Piszę te słowa, by pokazać, jak nietrafne jest utożsamianie Cichockiego, Gawina i Karłowicza z jakąś jedną partią. Z dyskusją nad wyzwaniem wobec Polski – tak, z banalnym partyjniactwem – nie.

Podejrzany patriotyzm

W Polsce, niemal pół roku po wyborach, deklaracje na temat wagi pamięci historycznej znów budzą oskarżenia o partyjne zaangażowanie. Warto szukać odpowiedzi na pytanie, skąd takie uczulenie na hasło promowania patriotyzmu.

Piotr Bratkowski pominął specyfikę doświadczenia pokoleniowego generacji urodzonych w połowie lat 60. autorów (Karłowicz i Gawin należą do rocznika 1964, Cichocki to rocznik 1966). Ich książki trudno zrozumieć bez wiedzy o przynależności do pokolenia, które w świadomy sposób przeżyło rządy ekipy stanu wojennego z całym jej cynizmem i łatwością sięgania po polityczne zabójstwa. Owa generacja przyjęła rok 1989 jako początek życiowej szansy, upadek wielu barier i – dokładnie w takiej kolejności – moralny triumf. Ale wielu jej

przedstawicielom zamknięto drzwi przed nosem. Logika Okrągłego Stołu szybko zaczęła premiować ich rywali z komunistycznych młodzieżówek. Nikt nie zamierzał nagradzać za polityczną inicjację w NZS czy solidarnościowym podziemiu.

Pierwszą zapowiedzią rozczarowań był brak symbolicznej chwili triumfu nad zomowską władzą. Być może dlatego Cichocki we wstępie do „Władzy i pamięci” zazdrości byłym mieszkańcom NRD ich własnej Bastylli – zdobycia przez demonstrantów gmachu Stasi w Berlinie. To przykre rozczarowanie szybko zmieniło się w konsternację – gdy późniejsi działacze Unii Demokratycznej zaczęli strofować młodych za zbyt radykalizm i zoologiczny antykomunizm. Okazało się, że nie wypada pytać o osądzenie Jaruzelskiego, o lustrację czy nawet o pluralizm partyjny. Nowym wzorem miał być makler w czerwonych szelkach, w wolnych chwilach chodzący na demonstracje na rzecz referendum aborcyjnego.

W ciągu kolejnych lat rówieśnicy Cichockiego, Gawina i Karłowicza mieli się zdumieć stopniem monopolizacji myślenia zbiorowego przez środowisko „Gazety Wyborczej”. Nic dziwnego, że tamte założycielskie lata III RP kojarzą się dziś trójce autorów ze słowem „prewencja”. Prewencja przed wszystkim, co w opinii sterników zbiorowego myślenia groziło recydywą nacjonalizmu i nienawiścią w życiu zbiorowym. Owa prewencja mentalna czyniła z patriotyzmu podejrzaną słowo, z postulatu dekomunizacji – zapowiedź polowań na czarownice, a z idei europejskiej – dogmat unieważniający pytania o polskie interesy narodowe. Słynny tekst Michała Cichego ukazywał powstanie warszawskie w kontekście ekscesów antysemickich, a hasło „szare jest

piękne” miało zniechęcać do ocen PRL. Herberta opisywano jako wariatuńcia, a nekrologowi Herlinga–Grudzińskiego towarzyszyły nekrologi psów.

Wszystkie te niezwykle bolesne dla wielu dzisiejszych czterdziestolatków kampanie i arogancje gazetowego „ministerstwa prawdy” dziś bywają bagatelizowane. Ówcześni szermierze pióra, w tym Piotr Bratkowski, lubią z udawaną lekkością żartować z przeceniania przez prawicę ówczesnego wpływu „Gazety” na intelektualny klimat tamtych czasów. Zbyteczna skromność. O tym, że ówczesne dogmaty weszły w krew dużej części polskiej inteligencji, świadczą najlepiej dzisiejsze nerwowe reakcje na próby przywracania należnej rangi takim słowom, jak patriotyzm i solidarnościowa wspólnota.

Cepeliada zamiast wspólnoty

Dopiero na tym tle zrozumieć można wyzwanie, jakie Cichocki, Gawin i Karłowicz rzucili polskiej wersji poprawności politycznej. W tej debacie okazali się niełatwymi przeciwnikami. Trudno znaleźć w ich tekstach podstawę do rutynowych oskarżeń o szowinizm, jakimi kłajstrowano intelektualistów spoza salonu. Zaczęli od zadawania prostych pytań. Dlaczego zrezygnowaliśmy z pozytywnej pamięci o wspólnocie „Solidarności?” Dlaczego w Gdańsku nie może powstać muzeum naprawdę godne wielkości ruchu, który w 1980 roku pomógł zmienić świat? Czy wolny rynek musi kłócić się z pamięcią o ofiarach UB i „żołnierzach wyklętych”? Dlaczego plakaty z pytaniem o gotowość do oddania życia za ojczyznę z wystawy „Bohaterowie wolności” stają się pretekstem do bicia na alarm przez postępowych myślicieli? W kraju, uważanym za wiecznie zanurzony w historii, przez 15 lat nie mogło

powstać Muzeum Powstania Warszawskiego. Nikt nie nakręcił filmu ani o Monte Cassino, ani o polskich lotnikach w bitwie o Anglię. Za to szybko znalazł się filmowy szyderca, bawiący Polaków scenami pijanych ubeków parodiujących śmierć stoczniońca w grudniu 1970 roku.

Idąc tropem tych pytań, Karłowicz, Cichocki, a w szczególności Gawin powrócili do krytycznej analizy naszego myślenia o patriotyzmie. Do dyskusji o Sienkiewiczu, Dmowskim, Brzozowskim czy Miłoszu. Uczynili to, by postawić pytania, dlaczego miejsce po solidarnościowej wspólnocie zajęła cepeliada fascynacji prezydencką parą Kwaśniewskich. Dziś, gdy na chwilę (bo rząd PiS nie musi trwać długo) rozpoczęto dyskusję o potrzebie wychowania patriotycznego, znów słyszemy tyrady o zagrożeniu nacjonalizmem Narodowego Instytutu Wychowania. Tym bardziej zachęcam do lektury trójki „strażników wartości”.

Chrześcijanin na rozdrożu

Każdy z trzech autorów ma swoją specjalność. O ile pytania o nasz stosunek do historii przykuwają uwagę całej trójki, z wiodącą rolą Dariusza Gowina – o tyle Dariusz Karłowicz porusza dylematy dzisiejszego chrześcijaństwa, problem końca epoki Konstantyna. Autor zastanawia się, ilu z turystów, oglądając freski w kościele w Arezzo uwieczniające chwilę nawrócenia rzymskiego cesarza, ma świadomość przemienienia ery sygnowanej jego imieniem.

Refleksja owej zmiany docierała do autora powoli. Odmierzana była codziennymi notatkami prasowymi o sporach o krzyże w salach szkolnych, o wykluczaniu z eurokonstytucji zapisów o dziedzictwie chrześcijaństwa, czy wreszcie brutalnym utraceniu z Komisji Europejskiej Rocco Buttiglione.

Wbrew pozorom refleksja nad tym, jak do tej nowej sytuacji mają dostosować się chrześcijanie, nie jest dziś zbyt rozpowszechniona. Postępowi katolicy lekceważą dramatyzm tych sygnałów, a obóz radiomaryjny – niuanse sytuacji rozważane przez Karłowicza. Autor polemizuje z posoborowymi pięknoduchami zachwycającymi się horyzontami, jakie otwierają się przed wierzącymi wraz z uprzywatnieniem wiary. Ale także z manicheistami, których zdaje się cieszyć jasny podział na świat wiary i ten lansujący nowe, laickie bożki. Karłowicz rozlicza entuzjastów końca ery konstantyńskiej pytaniami o skutki wypchnięcia zasad wiary w domowe zacisze.

Przypomniałem sobie te pytania w trakcie wizyty w Berlinie u znajomych emigrantów, którzy opuścili Polskę w latach stanu wojennego. Ich nastoletni syn, wychowany w zachodniobерlińskiej zlaicyzowanej szkole i zdający właśnie historię sztuki, prosił mnie o pomoc w zrozumieniu symboliki włoskiego malarstwa renesansowego. Szybko pojąłem, że pozornie odcytany młodzieniec nie ma bladego pojęcia o postaciach i symbolach chrześcijaństwa. Karłowicz wskazuje, że w porównaniu z takimi młodymi berlińczykami Polacy mieli przez długi okres po 1989 roku niezwykle dar – postać Jana Pawła II jako duchowego monarchy. Być może dzięki temu III RP o szpetnym licu

prezydentur Wałęsy czy Kwaśniewskiego mogła być strawna dla sumień wielu Polaków. To papieskie wizyty i związane z nimi narodowe rekolekcje były antidotum na skrzeczącą banalność ideową III RP.

Jaki będzie jednak polski katolicyzm po odejściu wielkiego papieża? Tego z książki Karłowicza już się nie dowiemy. Rozpaczliwe próby szukania nowego autorytetu – czego dowodem są dziwaczne pielgrzymki do Łagiewnik – pokazują, jak dolegliwy jest wakat na tym monarszym tronie. I będzie coraz bardziej wyrazisty wobec ucieczki naszych hierarchów od pytań o remedium na procesy laicyzacyjne pojawiające się pod hasłami integracji europejskiej.

Unia bez końca historii

I wreszcie trzeci obszar rozważań trójki autorów o polskiej rzeczywistości po 1989 roku – polityka zagraniczna. Tu najpewniej czuje się Marek Cichocki, który chce wyrwać z błogiej drzemki euroentuzjastów. Obóz zwolenników integracji, który ma niezaprzeczone zasługi w promowaniu akcesu naszego kraju do Unii, popadł w pewnym momencie w złudne przekonanie, że akces do Unii będzie swoistym końcem historii.

Przekonanie, że integracja zwolni nas od myślenia o polskich interesach w europejskiej polityce, zostało boleśnie zweryfikowane. Podział Europy w kwestii stosunku do interwencji USA w Iraku czy hasła budowy europejskiej tożsamości na antyamerykanizmie pokazały, jak złudna jest wiara w roztopienie się w bezkonfliktowej Unii. Cichocki w niezwykle rzeczowy sposób wylicza zjawiska, jakie

zaskoczyły naszych euroentuzjastów: powrót kwestii „wypędzonych”, dogmatyzm zwolenników laickości Europy w sporze o eurokonstytucję, czy wreszcie nawrót egoizmu narodowego w polityce Francji czy Niemiec. Dziś, gdy spór o UniCredit przypomina o dyskusji wokół kwestii istnienia narodowego interesu – pytania Cichockiego okazują się znów zaskakująco aktualne.

Ani kroku dalej?

Pora wrócić do wniosków Piotra Bratkowskiego. Publicysta „Rzeczpospolitej” nie potrafi zdobyć się na szerszą refleksję dotyczącą oceny słuszności kwestii stawianych przez 40-letnich konserwatystów. Zamiast tego sięga po dość ograny chwyt polemiczny, tworzenie domyślnej triady skojarzeniowej: wartości – pokusa przymusu – przemoc. Przeczytajmy słowa Bratkowskiego: „Trzeba świat zbawić – pisze Karłowicz (...) Ale jeśli nie da się inaczej, czy również siłą?” Ile razy już słyszałem sugestie, że konserwatywne idee w dzisiejszym świecie to prefiguracja chęci narzucania swoich poglądów za pomocą przemocy i monopolu idei zagrażającego wolności słowa.

Bratkowski łaskawie odpuszcza pojawianie się w przestrzeni publicznej głosów trzech autorów, ale w chwili zwycięstwa politycznego prawicy natychmiast stawia insynuacyjne pytanie, czy autorom wystarczy obecność „w wielogłosie”? Sugeruje tym samym, że tylko mały krok dzieli nas od sytuacji, gdy opinie trójki pisarzy staną się obowiązkowym dogmatem jakiejś PiS-owskiej dyktatury. Lekkim piórem kreuje Cichockiego, Gawina i Karłowicza na potencjalnych twórców nowej cenzury czy ustaw dyskryminujących homoseksualistów. Rozumiem, że

teksty Jacka Żakowskiego czy Kingi Dunin z definicji służą wolności wszystkich, ale już teksty tej trójki to automatyczna groźba stworzenia nowej elity „słusznej i lojalnej wobec bliskich im ideowo polityków”.

Ten fragment uważam za najbardziej nieuczciwy chwyt polemiczny Bratkowskiego. Nadaje on normalnej dla demokracji wymianie opinii na temat spraw publicznych charakter zagrożenia wolności. W książkach konserwatystów każe widzieć program potencjalnej dyktatury. Czyżby, pisząc je, Cichocki, Gawin i Karłowicz przekroczyli jakieś przypisane im granice? Dlaczego Bratkowski zdaje się ostrzegać – jeszcze krok lub dwa w kierunku realizacji ich idei, a uderzę na alarm zagrożenia demokracji? W imię czego przyznaje sobie prawo do oceny, jak blisko mają się zbliżyć do realnej polityki?

Trudno mi pozbyć się wrażenia, że takie stawianie sprawy, sugerujące rzekome pokusy prawicowego monopolu idei, maskuje lęk przed przełamywaniem innego monopolu – „ładu liberalnego”. Publicyści liberalni, niemający oporów w lansowaniu wprowadzania obyczajowych nowinek i cywilizacyjnych utopii, sami biją na alarm przy każdej odmiennej opinii, kreując je bałamutnie jako zamach na wspólną wolność. Takie bicie na alarm to dobra okazja do dyskredytowania tych, którzy ośmielili się zadać pytania, jakie skutecznie wyciszono w debatach III RP.

Piotr Semka

Rzeczpospolita, Plus Minus

*Copyright by PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część jak i całość utworów nie może być powielana i
rozpowszechniania w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (w
tym także elektroniczny lub mechaniczny lub inny albo na wszelkich
polach eksploatacji) włącznie z kopiowaniem, szeroko pojętą
digitalizacją, fotokopiowaniem lub kopiowaniem - bez pisemnej zgody
PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Jakiegokolwiek użycie lub wykorzystanie
utworów w całości lub w części bez zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. lub
autorów jest zabronione pod groźbą kary i może być ścigane prawnie.*